

JAK MACIEK CHCIAŁ WICHER OSZUKAĆ

Maciek – chłop na schwał mieszkał w starej, rozpadającej się chatynce.

Sił mu nie brakowało. W rękach przenosił wielkie worki ziarna a z lasu kłody drewna kiedy tylko zimno zaglądało do izby. Dlaczego więc ta chatyna się rozpadała?

Ano – Maciek nie był robotny.

Byle mu ciepłych skarpet nie brakowało a w misce kasza jaglana na obiad czekała to mu już w pełni wystarczało. Siadywał wtedy na schodach i wygrywał stare melodie na żdźbłach trawy.

To, że kocur wyliniały miauczał żałośnie z głodu nie przeszkadzało mu zupełnie.

To, że podczas deszczu krople wpadały przez dziurawy dach – no przecież można się szczelniej okryć pierzyną i nic sobie z pluchy nie robić.

Miał Maciek poletko po rodzicach, na którym rośło już wszystko – dorodne pokrzywy, wysokie osty a i długi perz płożył się na połaciach ziemi jeśli tylko wolną znalazł.

Rosło wszystko – oprócz tego co rosnać powinno.

Nie paliło się Maćkowi do pracy. Leżałby godzinami na swoim rozścielonym łóżku i liczył muchy na suficie gdyby nie to, że coś musiał włożyć do garnka.

Co będzie zimą? Nie martwił się tym zupełnie – przecież dopiero lato jest na świecie!

Ale lato minęło jak z bicza strzelił, po nim przyszła jesień i wichry coraz zimniejsze szarpały starą chatyną na lewo i prawo. Nikt ich we wsi nie lubił. Szarpały, zrywały, przenosiły – czyniąc bałagan gdzie się tylko dało. Nic więc dziwnego, że ludziska poczciwie wygrażały im i złorzeczyły.

Pewnej nocy usłyszał Maciek jak stary wicher żali się kawkom w odrapanym kominie, że nie może sobie miejsca znaleźć. Liście z drzew już pozrzucał, kasztanom otworzył skorupki a dziki nakarmił żołędziami. Przyjdzie mu się tulać po świecie i znowu szukać przyjaznego komina.

Długo nie mógł Maciej zasnąć, rozmowa wichru w ptakami pomysł mu w głowie zrodziła.

Kiedy tylko świt nastał ryknął Maćko z podwórka na wicher:

- Wichrze! Gdzieś to się podział wichrze?!

Nagle kapota chłopca zatrzepotała, włosy mu rozwiało, a ręce pokryła gęsia skórka aż otrząsnął się z wrażenia. Stanął przed nim zimny późno-jesienny wiatr we własnej osobie.

- Po co mnie wzywasz? – wyszeptał sinymi wargami wiatr a kiedy wypowiadał słowa ledwo Maciej na nogach ustać potrafił tak oddech wiatru nim kręcił.

- Chcę z Tobą interes ubić – krzyknął Maciej i ciaśniej owinął się kapotą, bo przy każdym słowie wiatru zimno przenikało go do szpiku kości.

- Przez rok okrągły będziesz spełniał moje polecenia, wykonywał co Ci rozkażę a po roku dam Ci na własność moje poletko. Będziesz tam mógł fikołki wywijać, z chochołami tańczyć i wyć, i dmuchać ile tylko będziesz miał sił.

Wiatr podrapał się po rosochatej brodzie, podumał.

- Rok powiadasz – rzekł

- Rok i ani dnia więcej – potwierdził Maciek.

- Zgoda! – wicher uścisnął rękę Maćka i poszedł na służbę do chłopca.

Jakiż to był świetny rok dla Maćka! Jakże mu sąsiedzi zazdrościli! Zimą zawsze miał podwórko ze śniegu omiecione, drzewo i chrust w równiutkich stosach poukładane. Wiosną wiatr jednym dmuchnięciem spulchnił ziemię i zasiał poletko ziarnem. Latem wyczesywał włosy kłosom tak, że zbiory miał Maciek najbogatsze z całej wsi. Jesienią wszystkie jabłka leciutko zdmuchnięte z drzew przetoczył wicher do spiżarni. A Maciek żył jak panisko. Niczego palcem nie ruszał, leżał i rozkazywał. Kiedy mu było za gorąco – kazał się wachlować, kiedy było za zimno – kazał wicherowi w ogień dmuchać tak żeby płomienie strzelały aż w kominie.

Kiedy przyszła pora zapłaty stawił się Maciek na miejsce ale dotrzymać słowa nie zamierzał.

Wkrótce pojawił się wicher spracowany roczną wysługą na Maćkowej gospodarce.

Chłopcu tak się praca wichru spodobała, że puścić go wolno nie chciał, zakręcił się szybko wokół wichru, owinął go swoją kapotą i w prześcieradło wpakował. Obwiązał sznurkiem prześcieradło i ciągnie je do komory.

- Już Ty z mojej służby nie wyjdiesz – śmiał się w głos chłop. – Tak długo będziesz w worze siedział aż się zgodzisz na dłuższą służbę.

Ciągnie i ciągnie.. z każdym krokiem ciężiej, trudniej.

Pot skropił czoło Maćka ale się nie poddawał.

Naraz świsnęło, ryknęło, prześcieradło podarło się na strzępy a Maćkowy kapelusz hen poszybował aż na wieżę kościelną.

Wicher nie powiedział ani słowa. Stanął tylko przed chłopem i posłał mu prztyczka w nos aż ten uniósł się w górę i wylądował na najbliższej gruszy.

I tak przez cały Boży dzień Maćko wisiał na gruszy a wicher bawił się w najlepsze na odrobionym poletku. Po prawdzie mógłby tam zostać na zawsze – w końcu zapłacił za nie swoją ciężką pracą ale wolał drzewo składać, śnieg odmiatać i zboże zasiewać wiosną.

A morał z tego taki, że umów należy dotrzymywać.. chociaż Maćko i tak spadł... hmmm na dwie nogi i nic mu się nie stało, bo grusza była niska a pod nią leżał dywan z liści.

Kasia Sz.